

Z kart

powstania

styczniowego

GAT

POGLĄDY
POLEMIKI
POSTULATY

Poznań

20. I. 1963

Nr 67 Rok III

TYGODNIA

DODATEK GŁOSU WIELKOPOLSKIEGO

W POZNAŃSKIM PRZED STU LATY

Franciszek Hryniewicz

Wielkie Księstwo Poznańskie pod zaborem pruskim nie mogło wziąć czynnego, zbrojnego udziału w powstaniu styczniowym. Bismarck niezwłocznie po wybuchu powstania ogłosił stan wyjątkowy i ściągnął ku granicy rosyjskiej pokaźne siły armii pruskiej. Otwarte przymierze z caratem na zgubę powstania ujęte w tzw. konwencji Alvenslebena i zapowiedź interwencji Prus na rzecz cara Aleksandra II w wypadku sukcesów polskiego zbrojnego ruchu narodowego, określały od pierwszej chwili powstania wrogość wobec niego stanowisko Prus.

Bismarck złączył się z powstaniem Polaków, gdyż przeniesienie go na ziemie zaboru zagroziło państwu pruskiemu, a jednocześnie mogłoby rozbudzić siły rewolucyjne w całych Niemczech.

Powstanie a sejm pruski

Wybuch zbrojnego czynu polskiego i jego rozwój znalazły silny oddźwięk w sejmie pruskim, który przez kilka miesięcy gorąco nad nim debatował. Antybismarckowską opozycję sejmową, zresztą słabą i nieszczerą, „żelazny kanclerz” straszył widmem utraty Gdańska i Poznania. 18 lutego, zwracając się do Izby mówił: „Czy niezależna Polska, która by w miejsce Rosji chciała się stabilizować w Warszawie, prowadziłaby politykę pruską, czy starałaby się zachować Poznań i Gdańsk w pruskich rękach, to panowie — osądźcie sami”.

Powstanie w Królestwie Polskim mogło znaleźć poparcie jedynie wtedy, gdyby w Niemczech wybuchła rewolucja. Liczyli się z tą możliwością Marks i Engels, a na emigracji Rosjanie — Hercen i Ogariow.

Na poparcie polskiego powstania przez rewolucjonistów niemieckich i przez niemieckie elementy demokratyczne liczyli nie tylko ludność polska w Prowincji Poznańskiej, lecz również przywódcy powstania w Królestwie Kongresowym. Ale i w Niemczech oczekiwano, że z Polski czy Rosji przyjdzie upragniona fala rewolucyjna.

Zawiedzione nadzieje

Niestety, Polacy ponosili klęskę za klęską. Nie wybuchło tu oczekiwane wielkie powstanie w Ro-

sji. Rewolucjoniści rosyjscy wzięli nadzieję z 15 marca 1863 roku, kiedy miała wejść w życie reforma rolna z 18 lutego 1863 r. Koła rewolucyjne przypuszczały, że chłopcy rosyjscy zawiedzeni i rozczarowani ukazem carskim, w gruncie rzeczy grabieżczym, jeszcze raz podniosą się do walki. Nadzieje się nie spełniły z powodu słabości, nieświadomości i rozproszenia sił społecznych, dojrzejącej rewolucji.

A jak dalece na tę datę 15 marca liczyli Hercen i Ogariow dowodziło ich żądanie przesunięcia terminu powstania polskiego na wiosnę 1863 r. W drugim okresie ożywienia się ruchów powstańczych w lecie 1863 r. obudziły się nadzieje na zwycięstwo polskich sił zbrojnych i złudne, jak się później okazało, interwencje państw zachodnich.

Udział Wielkopolski

W tym to czasie włączyła się do powstania brygada Poznańska z powiatu kościańskiego — Edmunda Taczanowskiego. Był to największy i najlepiej zorganizowany i wyposażony oddział kawalerii, nieustępujący w niczym regularnej kawalerii europejskiej. Operował na ziemi kaliskiej. Zaczątkiem brygady był oddział 200 jeźdźców, złożony głównie z Wielkopolan, którzy przedostali się przez granicę. Połączony z partią konną z okolic Kalisza, Sieradza i Wielunia, już w dniu 11 lipca 1863 r. posiadał około 630 ludzi. Jeszcze przed tym częścią brygady rozbiła 8 lipca pod Walewiczami szarżę czworoboki piechoty carskiej, a dnia następnego pod Kterami oddział kawalerii.

Sił brygady gen. Taczanowskiego wzrosły wkrótce do stanu tysiąca szabel wchodzących w skład dwóch pułków ułanów, którymi dowodzili Matuszewski i Słupski oraz z przydzieloną piechotą liczyli ok. 2000 ludzi, co stanowiło już poważną siłę. Wyruszywszy z Kleszewa, stoczył zwycięskie potyczki i bitwy pod Kurkiem, Pyzdrami i Ignacem. W marszu na Częstochowę napotkał gen. Taczanowski 27 sierpnia pod Nieznaniem na przeważające siły rosyjskie z artylerią, której powstańcy nie posiadali. W ciężkiej,

zaciętej bitwie brygada została rozbita. Poległo 250 ludzi, część zaś wraz z taborem dostała się w ręce wroga. Gen. Taczanowski, ciężko ranny, uszedł z tej klęski i schronił się na emigracji.

Sylwetka bohaterskiego powstańca

Godzi się przypomnieć w setną rocznicę powstania postać tego naczelnika sił zbrojnych województwa kaliskiego i mazowieckiego. Urodzony w 1822 roku w Wieżynie poznańskim, po studiach gimnazjalnych służył w wojsku pruskim, jako oficer zawodowy. Po paru latach młody porucznik Taczanowski w 1846 r. usunięty został z armii pruskiej za poglądy patriotyczne. Współdziałał w organizacji powstania w Poznaniu w 1848 r. W roku następnym był już w szeregach powstańczej armii włoskiej, po czym powrócił do kraju i tu w Wielkopolsce gromadził ludzi i środki do powstania 1863 r. Po jego upadku udał się do Turcji, aby tam zorganizować polską siłę zbrojną. Nie powiodły się te wysiłki. Złamany niepowodzeniem osiedlił się w Krakowie. Rząd pruski po upadku powstania wydał na niego zaocznie wyrok śmierci. Amnestia ogłoszona przez Prusaków podczas wojny 1870/71 r. umożliwiła mu powrót do Poznania, gdzie sparaliżowany zmarł w 1879 roku.

W okresie międzywojennym w 1938 roku społeczeństwo Poznania przypomniało sobie zbrojny czyn gen. Taczanowskiego i oddało mu należny hołd. Szczątki jego ekshumowano z cmentarza w Choryni w pow. kościańskim i z honorami wojskowymi przewieziono najpierw do Poznania, a następnie po uroczystościach żałobnych do Warszawy, gdzie 1 listopada 1938 r. bohater Wielkopolanin pochowany został na „Cmentarzu Powstańców 1863 r.”

Powstanie styczniowe upadło, lecz z jego posiewu 28 września 1864 r. powstała Pierwsza Międzynarodówka. Dnia tego w Londynie zebrał się robotnicy angielscy, francuscy i niemieccy, aby wspólnie przeciwstawić solidarności klasy robotniczej z polskimi powstańcami — nienawiści reakcji i obojętności liberałów krajów zachodnich. Na zebraniu tym wyłoniony został komitet, który powołał do życia I Międzynarodówkę.

złoci ową pseudotunikę, nie miał już okazji dotrzymać przyrzeczenia.

W tym samym 1793 roku, w którym zakończono zostały prace nad Bramą Brandenburską, żli Sankiuloci ośmielili się rozbić pod Valmy mit o niezwyciężonej armii spadkobiercy Starego Fryca. Co zaś jeszcze bardziej przerażało Fryderika Wilhelma II, także w samym Berlinie znaleźli się ludzie, którzy ulegali nowinkom znanym Sekwany, nie chcieli widzieć w rzeźbie Schadowa pruskiej Victorii, lecz boginię pokoju i braterstwa między narodami. Wprawdzie wkrótce Napoleon potraktował berlińską boginię wyjątkowo jako zwyciężczynię wojenną, ale kiedy po klęsce Korsykanina wrócił do Paryża na swój pierwotny piedestał, zawsze znajdowali się Niemcy twierdzący, że powinna ona symbolizować pokój. Niestety, nie oni mieli decydować. Natomiast ich przeciwnicy aż po najnowsze czasy nie szczędzili wysiłków, by kwadryga pędziła wojenną Victorią. Przeciagały więc pod nią w roku 1871, zwycięskie nad Francją wojska co dopiero proklamowane w Wersalu prusko-niemieckiej Rzeszy. Również przygotowane wówczas w roku 1914 medale „Za zdobycie Paryża” ozdobiło podobizną tej rzeźby Schadowa. Nawet jeśli wybito je przedwcześnie, zdjęcia z lat 1918—1919 przedstawiające widok przejeżdżających pod Bramą Brandenburską ciężarówek załadowanych rewolu-

Prof. dr Czesław Łuczak

Prorektor UAM

Przemysł wielkopolski do 1918 roku

W połowie grudnia odbyła się w Poznaniu niezmiernie interesująca sesja naukowa, zorganizowana przez Poznańskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk i Prezydium WRN. Jej tematem było przedstawienie poglądów poznańskiej nauki na zagadnienie uprzemysłowienia Wielkopolski. Obecnie w cyklu artykułów pragniemy zapoznać Czytelników z poglądami naukowców na ten, wszystkich nas, żywo obchodzący problem. Jako pierwszy, występuje prof. dr Czesław Łuczak, prorektor UAM, który, niejako wprowadzając w przedmiot sesji, daje bowiem historyczne uwarunkowanie tego stanu gospodarki wielkopolskiej, jaki zastała Polska u progu swej, drugiej niepodległości. (red.).

Wielkopolska należała w wieku XIX do tych regionów geograficznych, w których o rozwoju przemysłu decydowały nie tylko warunki przyrodnicze i ekonomiczne, ale także i stosunki polityczne. Czynniki polityczne odegrały w dziejach przemysłu tej dzielnicy znacznie większą rolę aniżeli na niektórych innych obszarach Polski. On to spowodował zasadniczą zmianę w hierarchii ważności poszczególnych gałęzi przemysłu w gospodarce regionu oraz wytyczył nowy kierunek rozwoju wytwórczości przemysłowej. Mówiąc o czynniku politycznym, mam na myśli przede wszystkim rozbiory.

Wielkopolska posiadała w okresie przedrozbiorowym bardzo silnie rozwinięty przemysł włókienniczy, którego produkty eksportowano nawet na rynki rosyjskie i dalekowschodnie. Drugi rozbiór Polski zakończył ten złoty okres wielkopolskiego sukiennictwa i płóciennictwa. Po włączeniu Poznańskiego do Prus przemysł włókienniczy tej dzielnicy nie mógł się uporać z konkurencją wyżej technicznie i organizacyjnie stojącego przemysłu śląskiego i saksońskiego, na rzecz których stopniowo tracił swoich klientów. Ponadto konsekwentne realizowanie po roku 1815 prohibicyjnych założeń polityki celnej Królestwa Polskiego i Rosji doprowadziło do utraty chłonnych rynków na Wschodzie. To były dwie główne przyczyny upadku przemysłu włókienniczego w Poznaniu.

Losy przemysłu włókienniczego tak dalece zaprzętały uwagę działaczy gospodarczych oraz władz komunalnych a nawet państwowych w W. Księstwie Poznańskim, że prawie nie spostrzeżono intensywniejszego po roku 1830 rozwoju przemysłu spożywczego. Ta gałąź produkcji, reprezentowana głównie przez młyn, browary, gorzelnie i olejarnie, była już od wieków tradycyjnie jak najściślej związana z wielką własnością feudalną i wraz z nią zaczęła w drugiej ćwierci XIX w. wkraczać zdecydowanie na tory gospodarki kapitalistycznej. Zastosowanie w rolnictwie nowych metod uprawy, bardziej udoskonalonych narzędzi oraz nawozów sztucz-

nych przyniosło w rezultacie wzrost wydajności pól, z których producenci, kierując się chęcią osiągnięcia z własnych gospodarstw jak najwyższych zysków, coraz więcej przeznaczali na przerób w przedsiębiorstwach przemysłowych. Przetworzenie tych dużych, jak na ówczesne stosunki ilości surowca przekroczyło z czasem możliwości techniczne istniejących zakładów produkcyjnych. Przed wielkimi posiadaczami ziemskimi stanęła więc konieczność zwiększenia zdolności produkcyjnej przemysłu spożywczego. Biorąc pod uwagę takie korzystne dla nich fakty, jak: bogata na miejscu baza surowcowa, obfitość taniej siły roboczej oraz zapewnienie na wiele lat zbyt fabrykatów poza W. Księstwem Poznańskim, zdecydowali się na modernizację urządzeń technicznych, budowę nowych i rozbudowę już eksploatowanych obiektów. W wyniku pełnej realizacji tych poczynąń przemysł spożywczy partycypował po r. 1850 w coraz wyższym stopniu w globalnej produkcji Księstwa. Zajmował on także dominującą pozycję wśród gałęzi przemysłu, koncentrując w r. 1875 — 71,9 proc., w r. 1895 — 59,1 proc. i w r. 1907 — 53,5 proc. ogółu wielkopolskich przedsiębiorstw przemysłowych.

Wzrost mechanizacji rolnictwa i rozwój przemysłu spożywczego zrodziły z kolei zapotrzebowanie na różnorodne maszyny, skomplikowane urządzenia i precyzyjne narzędzia, dotąd w Księstwie nigdy nie wytwarzane. Produkcji tych przedmiotów podejmowały się coraz liczniejsze od lat czterdziestych XIX w. wytwórnie i fabryki, z których tylko przedsiębiorstwo H. Cegielskiego zdobyło sobie szerszy rozgłos na arenie międzynarodowej.

Przemysł spożywczy oraz gałęzie wytwarzające na jego i rolnictwa potrzeby należały w Poznaniu do najlepiej prosperujących. Nie oznacza to jednak, że inne działy przemysłu w Księstwie się w ogóle nie rozwijały. Na przestrzeni XIX i początku XX w. powstało nawet szereg nieznanych przedtem gałęzi przemysłu, uruchamiano nowe zakłady produkcyjne w branżach

Dokończenie na str. 2 i 3.

Zbigniew Szumowski

Pod Bramą Brandenburską

Pobyt w Paryżu zwykły się anonować widowiskowo, z wieżą Eiffla, zaś pozdrowienia z Poznania ślać na odwrocie wizerunku Ratusza. Niech więc Brama Brandenburska stanowi przewodni motyw pierwszej relacji ze stolicy Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Zwłaszcza że budowla ta jest nie tylko architektonicznym symbolem Berlina.

✱

Kiedyś, przed wiekami, stała na tym miejscu najprawdziwsza, typowa obronna brama średniowiecznego miasta. Później, kiedy Berlin stając się przodującym w całej monarchii pruskiej ośrodkiem gospodarczym, rozszalał swe dotychczasowe granice, brama spełniała funkcję rogatki. Ale i ta rola stała się wkrótce anachroniczną.

Właśnie w roku zburzenia Bastylii — 1789 r., łaskawie panujący wówczas Fryderyk Wilhelm II udzielił wybitnemu architektowi Langhau-

sowi zlecenia na wybudowanie w miejsce dawnej bramy czegoś monumentalnego, mającego godnie zdobić stupeńdziesiątysięczne już miasto. Zgodnie z duchem czasu, projekt nowej, wspaniałej budowli, powstającej dokładnie na osi wschód — zachód, oparto na wzorze klasycystycznym — ateńskich Propylejach. Całość wieńczyć miała rzeźba dłuta mistrza Schadowa, przedstawiająca czterokonną kwadrygę bogini zwycięstwa — Victorii. Podobno król jak i mieszkańcy byli zachwyceni projektem oraz rozmachem prac wykonawczych. Potomnym przekazano nie tylko wieść, iż trzeba było do wybudowania bramy zwieść okrągły milion kamieni lecz i zbiór rachunków wystawionych z typową skrupulatnością na 110 902 talary, 20 groszy, 10 fenigów. Zarazem jednak hojny monarcha okazał się pełnym pruderii. Oburzony na klasycystyczną nagość bogini, rozkazał ponownie ściągnąć olbrzymi posąg z rydwanu i zakuć w zawiązaną szczerlinie pod brodę żelazną szatę. I choć obiecywał, iż po następnych podbojach po-

cjonistami dzierzącymi czerwone sztandary pokoju i solidarności międzynarodowej, też pozostały tylko dokumentem nieziszczonych nadziei.

W efekcie — od pochodni, które trzydziści lat temu, 30 stycznia 1933 roku ponieśli hitlerowcy świętując wraskliwym capstrzykiem zdobycie władzy w Niemczech, spłonął nie tylko Reichstag. Między innymi poznański Ratusz. Rozbita też została w czasie walk o Berlin kierująca swe rumaki na Wschód bogini z Bramy Brandenburskiej.

Dawne dzieje? Prawda — już przed kilku laty odrestaurowano symboliczną budowlę Berlina. Ponownie też uwieńczono ją nowym odlewem rzeźby Schadowa. Ale przybył z miasta, w którym nie tylko odbudowano charakterystyczny Ratusz, lecz niemal bez reszty zatarto ślady innych zniszczeń, przystanęszy dziś pod Bramą Brandenburską, znajdzie się w scenarii wciąż jeszcze przypominającej, że dawny monopol militarystów na określanie kogo ma przedstawiać rzeźba, miał tragiczne następstwa także dla losów tego miasta. Właśnie bowiem najwspanialsza niegdyś, reprezentacyjna dzielnicowa miasto nad Sprawą, której główną arterią jest prowadząca ku pomnikowi Langhauza-Schadowa Al. Pod Lipami, świadczy po dziś dzień swym wyglądem o wysokości ceny, jaką przyszło zapłacić i Berlinowi za panowanie czcicieli Victorii. Ze tylko w Berlinie — stolicy NRD, dwukrot-

nie mniejszej od Berlina zachodnie-go, całkowitemu zniszczeniu uległo w latach 1939—1945 ponad 11 000 budynków, zaś 5000 zostało ciężko, a prawie 70 000 tysięcy lekko uszkodzonych. Przy tym bomby, fosfor i pociski niosły zagładę nie tylko odpowiedzialnym za łązy i cierpienia... W sąsiedztwie bogini trzeba myśleć o sprawach wojny i pokoju.

✱

W czasie swej poprzedniej bytności w Berlinie właśnie w tym miejscu byłem świadkiem słownego starcia dwóch Niemców. Ścisłej mówiąc reprezentantów dwóch Niemiec. Jeden — butny i natarczywy wskazywał w zależności od wyglądzanych kwestii albo na wpiętą w rewers marynarki złocistą miniaturkę Bramy, będącą odznaką rewizjonistycznego ruchu na rzecz „zjednoczenia” Niemiec, albo na swój stojący w pobliżu Volkswagen z rejestracją zachodniobерlińska. Drugi — z przypiętą do białej, lnianej bluzy „weterana” FDJ maleńką odznaką Socjalistycznej Partii Jedności, kwitował szowinistyczne proklamacje i obietnice łask cudu gospodarstwa spokojnymi, chwilami aż na pozór zbyt rzeczowymi, zdawałoby się szablonoowymi pytaniami: Jakie Niemcy? Za jaką cenę? I tylko raz użył przenośni. Cytując Brechta, że Kartagina po pierwszej wojnie punickiej była jeszcze potęgą, po na-

Dokończenie na str. 4

Wszystkich rozważaniach poświęconych Soborowi powraca wciąż pytanie: Jakże są perspektywy? Pytanie to nie dotyczy tylko spraw wewnętrznych katolicyzmu, gdyż wiadomo, że zajmuje on pewną postawę również w sprawach społecznych i politycznych. Wiadomo też, że problemy ściśle teologiczne czy liturgiczne bardzo często mają związek ze stosunkiem Kościoła do otaczającego go świata. Zarówno więc wierzący, jak niewierzący interesują się przyszłością katolicyzmu.

Odpowiedź, jakiej udzielił życie na to pytanie, zależy w znacznej mierze od swobody dyskusji panującej w Kościele. Chodzi o to, czy zachowawcze siły katolicyzmu pozwolą dojść do głosu zwolennikom reform, tym, którzy opowiadają się za tzw. postawą otwartą wobec człowieka, za przychylnym stosunkiem do każdego, nawet jeśli wyznaje inny światopogląd.

Zdaniem wielu obserwatorów przebieg I sesji soborowej jest świadectwem swobody i szczerości dyskusji. Również obserwatorzy reprezentujący wyznania niekatolickie obecni na zgromadzeniach generalnych Soboru podkreślali, że do głosu dochodziły niejednokrotnie różnice zdań na tematy bardziej lub mniej zasadnicze. Dyskusja taka toczyła się na temat reform liturgii np. wprowadzenia na miejsce łaciny języków ojczystych. Niektórzy z „Ojców Soboru” opowiadali się gorąco za tą zmianą, inni protestowali argumentując, że może się to przyczynić do rozbicia jedności Kościoła.

Szczególnie wymowna była różnica zdań na temat schematu „O źródłach Objawienia”, przygotowanego przez komisję, na której czele stał kardynał Ottaviani — przywódca obozu zachowawczego. Większość „Ojców Soboru” wypowiedziała się w głosowaniu przeciwko temu dokumentowi, w którym sporo było sztucznych sformułowań, będących świadectwem żywotności tendencji konserwatywnej. Tak więc okazało się, że duchowni zgromadzeni w Rzymie nie są „monolitycznym blokiem”, że zwolennicy reform mogą wypowiedzieć swe myśli — głównie dzięki atmosferze stworzonej przez Jana XXIII.

Jednakże już w czasie I sesji dały się zauważyć zjawiska, które zaniepokoiły wielu

Lesław Mariusz

Swoboda dyskusji czy ślepe posłuszeństwo

obserwatorów, w tym również katolickich. Oto na przykład w artykule piera O. B. Roegge zamieszczonym w nr. 1/63 „Przewodnika Katolickiego” czytamy:

„Jest niestety faktem, że wielu miarodajnych ludzi w Kościele sądzi, że otwarte ujawnienie różnic w poglądach jest rzeczą szkodliwą. Stosunkowo niewielu tylko uważa, że nie wykazuje bardziej przekonująco roli odnowy w Kościele, jak właśnie informowanie bez zastrzeżeń o toczących się na Soborze debatach”.

Sprawą tą zajął się również Jerzy Turowicz w „Tygodniku Powszechnym”. Zastanawiając się nad brakiem obiektywności, który jego zdaniem występował w pewnych informacjach prasowych o Soborze, pisze:

„Tu jednak nasuwa się problem inny, czy wina cała — tam, gdzie jest wina — znajduje się tylko po stronie prasy. Jest to problem stosunku Kościoła do informacji oraz problem sekretu soborowego”.

Rzecz polega na tym, że treść dyskusji toczonych na zgromadzeniach soborowych uznana została za tajemnicę. Dziennikarze, którzy otrzymywali tylko skąpe informacje na konferencjach prasowych, musieli sporo się napracować, by zdobyć nieco więcej wiadomości różnymi drogami, nie zawsze oficjalnymi.

Widzimy więc, że problem swobody dyskusji w Kościele nie jest taki prosty. Szczerść i otwartość? Tak — ale w wąskim gronie „Ojców Soboru”. Ogół wiernych niech się nie dowie o dyskusjach watykańskich. Takie jest przynajmniej stanowisko przeciwników reform.

Kościelna informacja posoborowa jest wier-nym odbiciem tych tendencji. W krajach, w których głos decydujący w Kościele mają biskupi — zwolennicy zmian, informacja o problemach dyskusyjnych jest względnie szeroka. W innych krajach w tym również w Polsce — wiernym mają wystarczyć „refleksje” niektórych uczestników I sesji; jest tam mało refleksji, za to dużo słów o ubiorach biskupów, o tym, że trybuny soborowe podzielone były na szesnaście sektorów, że w każdym sektorze było 16 rzędów, że każdy rząd miał sześć siedzeń itd.

Nasuwa się pytanie: skąd taka niechęć do informowania o istotnych sprawach współczesnego katolicyzmu? Pewną odpowiedź można znaleźć w artykułach pisanych przez

publicystów katolickich, znanych z zachowawczych tendencji. Jean de Fabrègues w tygodniku „La France Catholique” wypowiada się przeciwko informowaniu o Soborze, gdyż uważa, że niesłuszne jest toczenie poza Bazyliką św. Piotra innej dyskusji, która byłaby czymś w rodzaju drugiego Soboru. Wierni powinni — zdaniem tego publicysty — żyć Soborem przez modlitwę i ćwiczenie się w ascecie. Ku jego ubolewaniu drugi Sobór już się odbywa, a uczestnicy toczonych w jego ramach dyskusji pragną zapewne wywrzeć nacisk opinii publicznej na czynnik decydujący w Kościele. Taki nacisk jest jego zdaniem niepotrzebny i szkodliwy.

Tak oto w czasie, gdy w całym świecie opinia publiczna odgrywa coraz większą rolę, wpływowe koła kościelne wyraźnie ją lekceważą. Jest to jeszcze jeden przejaw przeciw-

stawiania się tendencjom nurtującym współczesny świat. Koła te obawiają się opinii publicznej, pragną, by masy katolickie biernie wykonywały zalecenia hierarchii. Dokładne zaznajamianie ich z przebiegiem soborowej dyskusji mogłoby tę bierność podważyć i spowodować wśród wiernych żywą wymianę zdań.

Zarysowały się zatem wśród katolików dwa poglądy.

Zwolennicy jednego, do których zaliczyć można — jak się wydaje — część polskiej hierarchii postulują, by dyskusja zaczynała się i kończyła na sesji Soboru. Zwolennicy drugiego twierdzą, że Sobór powinien być tylko początkiem dyskusji. W katolickim miesięczniku „Więź” już w maju 1962 r. ukazał się artykuł, którego autor, Andrzej Grzegorz, jak gdyby przewidując owe tendencje do ucinania dyskusji po sesji Soborowej, pisał:

„W pewnych kręgach zarówno świeckich, jak i kleru brak jeszcze otwartej atmosfery umożliwiającej rzetelną dyskusję. Zdarza się, że niższe duchowieństwo lęka się wypowiadać swoje opinie. Bywają one interpretowane jako objawy osobistych trudności wewnętrznych, świadczących o słabości charakteru. Brak też w wielu środowiskach katolickich tolerancji dla śmiałych pomysłów, dla nowych przemyśleń i krytyki”.

Na podstawie tej analizy sytuacji Grzegorz wysuwa wnioski i postulaty dotyczące przyszłości:

„Z tych wielu względów wydaje się, że obecny Sobór powinien stać się raczej zaczątkiem reformy i hasłem do niej, aniżeli jej spetryfikowaniem. Powinien dać zielone światło dla wszelkiego twórczego myślenia. Powinien otworzyć drogę dla dalszej twórczej pracy nad reformą”.

Która z tych tendencji zwycięży? Czy ta zmierzająca do utrzymania wiernych w posłuszeństwie wobec przeciwnych reformom dyktatorów kościelnych? Czy raczej druga, której zwolennicy dążą ku swobodzie dyskusji, pragnąc poszukiwać sposobów współzycia ze współczesnym światem?

Wokół Soboru

Gerard Górnicki

Ilustr. Ewa Pruska

La dolce vita

Z włoskiego notatnika

Opuściłem Italię nie wiadomo na jak długo. Stukot kół pociągu skandował rejestr miast i miejsc, których nie zobaczyłem. Słowo — Sycylia — wywołuje największy żal. Los nie był aż tak przychylny, aby starczyło lirów na skok z Neapolu do Palermo i Syrakuz.

I

Podróż przez Alpy — męcząca. Cudowne widoki, wzrok w ciągłym napięciu, ledwo wytrzymuje natłok liliowych skał i białych szczytów. Wąwóz niebieskiego połuku ciasny, jak ulice urzekającej Florencji.

Za mną słoneczna, zielona Nizina Lombardzka. W granicznych miasteczkach — włoskich i austriackich — śnieżna zima. W wagonie spokój. Czy otrzymałem ten opuszczony kraj — taki, na jaki zastąpiłem? Pragnęłam Italii antyczna — renesansowa. W oczach moich pojawiają się obrazy, sceny, sceny, obrazy... Jedno jest niewątpliwe: po materialnej kulturze starożytnej pozostały — resztki, prochy, porozrzucone po kątach Rzymu, po całym Półwyspie Apenińskim. Renesans — świetnie zachowany.

II

La dolce vita. Pod takim tytułem ujrzymy również na polskich ekranach słynne „Słodkie życie” F. Felliniego, z jego żoną G. Massiną (Złota Palma w Cannes — 1960 rok). Film ten, to wędrówka poprzez dżunglę obyczajową wielkiej metropolii — Rzymu. Oto fragment dialogu:

Marcello: ... Czy zamawiasz coś?
Ojciec: — Tak... Kelner!... Drogo tu u was?... Na pewno nie tanio... (podnosi z tacy kwiatek Marcello i ogląda go. Spoglądając na kelnera, pyta zdumiony) — Trzysta trzydzieści lirów?... Co to jest?...
Marcello: — Gin — fizza...
Ojciec: (z rezygnacją) — Ach!... No cóż... Drogo!... (stuka pierścieniem o tacę) — Kelner!...
Kilogram mięsa, kielbasy: 1600 do

2000 lirów. Ale za 1600 lirów kupię komplet damski, za 3000 lirów parę męskich butów...

III

Pompela. Przelotny deszcz. Parzę niepewnie na granatowy Wezuwiusz, ale powietrze zupełnie ciche. Lawina popiołu i kamieni przysypała 40-tysięczne miasto w roku 79 naszej ery. Jestem sam. Pustki. Za mną chodzi czarny, kulawy pies. Wywahał polską kielbasę, którą noszę w sportowej torbie. Na stopniach doskonale zachowanego Teatru Dramatycznego — obiad i myśli o... Janku Perzu, o Jego doli. Miasto odkopane, ale nie odbudowane z gruzów. Mądry zwycięzca — starożytność jest autentyczna. Na ścianach domu publicznego malowidła — ponętne...

IV

Niedziela. Godzina 12 w Watykanie. Na czwartym piętrze pałacu ukazuje się w oknie Jan XXIII. Jest w białym stroju. Ludzie klaszczą, dźwięczą klaskony samochodów. Papież odma-wia Anioł Pański. Słychać słowa w megafonach. Jakimś Anglikowi niemal wyrwam z ręki — lornetkę. Papież błogosławi. Oklaski i wrzawa klaskonów. Wszystko 4—5 minut. Nie zdążyłem zrobić zdjęcia. Anglosassi

filmują i fotografują widowisko — jak szaleni...

V

„Palmiro Togliatti ma opanowany głos i spokojne, głębokie spojrzenie. Ubrany na czarno. X Zjazd Włoskiej Partii Komunistycznej... Naród włoski ma duże znaczenie w Europie. Togliatti mówi o jego pracy, o trudzie, o zaostrażającej się walce klasowej, robotniczej, oraz o konieczności zbliżenia się do katolickich mas pracujących i wskazywania im, że cele odnowy politycznej i gospodarczej są wspólnymi celami...”

W rozmowach z niektórymi Włochami wyczuwam nutę kompleksu, jakby żalu do ich własnej historii XX w. Naród wyzwolony z faszyzmu — posiada wyrobioną świadomość i dyscyplinę społeczną. Nie jest wrzaskliwy, jak przesadnie ukazują go filmy na ekranach...

VI

Campo della Farnesina. U podnóża Monte Mario, nad Tybrem — leży stadion olimpijski, czteropiętrowy, na 100 tysięcy widzów. Już się rozpoczęła mecz I włoskiej ligi piłkarskiej. Spóźnieni — biegną i pokrzykują śpiewnie. Jakiś młodzieniec macha mi przed nosem biletem i mówi: — Curva! — Potem drugi, piąty i dziesiąty. Wołają gorączkowo: — Curva, curva, curva... — Stoję z rozpaczą w sercu, jakby u bram piekła. Patrzę na budkę biletową. Napisane: curva — 500 lirów, tribune — 900 lirów. Czy aby to nie nasza nieskazitelna polszczyzna? Siedziałem na meczu na tej... krzywej (za bramką!) Pomyślałem, że Sąd Powiatowy w polskim mieście — O., uniewinniając kiedyś pewnego oskarżonego o użycie tego słowa wobec sąsiadki, może miał rację. Ale to miasto nie leży nad Tybrem...

VII

Piazza di Spagna. Rozkosz. Odczuwam zapach... Polski. Na placu piękna fontanna w kształcie tonącej barki. Na szczycie hiszpańskich schodów, obok kościoła — klasztor, założony przez Marysię Sobieską. Tutaj spędziła ona ostatnie dni swego życia.

Po lewej stronie — Via del Babuino, tu mieszkał J. Słowacki. Po prawej stronie — barokowy pałac, w którym mieszkała królowa Maria Kazimiera, później Z. Kasińska. Na wprost schodów — Via Condotti, w niej po prawej stronie jedna z najstarszych kawiarni rzymskich — Caffè Greco. Tutaj gościli — Mickiewicz, Słowacki, Norwid, Sienkiewicz, Krasiński, również Byron, Goethe, Flaubert, Ibsen, Rilke... — dech zapiera, z lekkim zawrotem głowy wchodzę i mówię: — Dzień dobry! — Blondynka, siedząca w kasie, śmieje się do mnie ślicznymi oczami i odpowiada: — Dzień dobry. — Po polsku! Brunet, stojący za bufetem głośno: — Bravo Polacco! — Za co? Na Capri — to jeszcze jakoś rozumiałem. Jestem jedynym gościem. Ściany i krzesła obite czerwonym sukrem. Stoły białe, marmurowe. Dużo portretów, rękopisów w ramkach. Boję się usiąść. Nie wiem, który kąt wybrać, który stół? Podano mi protekcyjną kawę — „siekierę”. Nie spałem po niej całą noc i trochę marzyłem... Niedawno, bo przedwczoraj jeszcze — jadłem na kolację: makaron ze ślimakami i indyczką z kaszkaniami...

VIII

... W tym kraju mieszka ponad 50 milionów ludzi na 302 tys km² (ponad 165 osób na 1 km²). Na emigracji jeszcze 10 milionów. Wysoka śmiertelność dzieci. Około 75 proc. ludności żyje w miastach. Udział gospodarki rolnej w ogólnej produkcji krajowej — około 35 proc. Kraj ubogi w surowce kopalne. Bardzo mało lasów. Południe zacofane. Wysoki po-

IX

Most na rzece Piawie, połem miasteczko Udine. Na horyzoncie Alpy. Wejście do małego hallu hotelu „Torre” — z podwórza. Mieszkam na I piętrze. Zbliża się północ. Wychodzę z pokoju, nieco zdenerwowany tym, że stale ktoś chodzi głośno po schodach i korytarzach. Na ścianie, między pokojami nr 4 i nr 3 — wisi duży krucyfik z wieńczącą, czerwona lampka. Wysoka, dobrze zbudowana „Marie” pyta mnie, dlaczego nie śpię? Pokazuje mi na palcach, że tylko 5 ty-sięcy lirów za godzinę. Ma piękny apartament — w kolorze różowym. W portfelu posiada 800 lirów. Szylingi rezerwuję na Wiedeń, w którym chcę spędzić dwa dni... Nie spałem całą noc, musiałem się wewnętrznie przełamać, aby wyjechać z Italii. Włoska wiza wjazdowa ważna jeszcze na jeden tydzień... Dreczę się tym, że nie wygrałem swojego szczęśliwego losu do końca...

X

Trzy granice, przeważnie nocą. Polscy celnicy elegancyjni, uprzejmi. Po chwili namysłu uśmiechają się, są rozmowni. Zapisy na mojej deklaracji celnej — nieprzychylnie; wstydę się trochę. Jestem dobrym mężem, nie dam o sobie powiedzieć ani jednego złego słowa...

Przemysł wielkopolski do 1918 roku

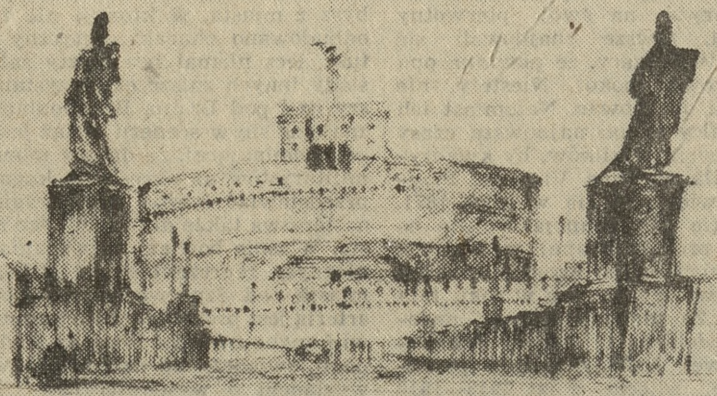
Dokończenie ze str. 1

szczytujących się już kilkunastowiekową tradycją, ale były to w nielicznych wyjątkami przedsiębiorstwa drobne, o znaczeniu lokalnym. Właśnie drobnotowarowość stanowiła charakterystyczną cechę wielkopolskiego przemysłu w okresie zaborów.

Dalszą z kolei szczegółną dla przemysłu wielkopolskiego w okresie zaborów cechą była olbrzymia przewaga produkcji dóbr konsumpcyjnych nad środkami produkcji. Przemysł lekki obejmował bowiem ponad 80 proc. przedsiębiorstw. Supremacja przemysłu lekkiego w Księ-

stwie, w tym głównie spożywczego, pociągała za sobą ważne dla życia gospodarczego i społecznego skutki. Baz surowcowa właśnie dla przemysłu spożywczego jak i w dużym stopniu także dla ceramicznego obejmowała praktycznie teren całej prowincji, stąd też brak w Poznaniu i w wyjątkiem Poznania i Bydgoszczy w ogóle silniejszej koncentracji geograficznej przedsiębiorstw. Lokalizowano je głównie po folwarkach i w miasteczkach, a tylko drobny odsetek z nich zakładano w większych miastach. Usytuowanie sporej liczby przedsiębiorstw na wsi i w mniejszych miastach powodowało duże rozproszenie klasy robotniczej oraz utrudniało jej zorganizowanie się i prowadzenie przez nią skutecznej walki z kapitalistycznym wyzyskiem. Właścicielom zakładów natomiast zapewniało dostateczną ilość i to taniej siły roboczej, co z kolei wywierało swój wpływ na kształtowanie się wysokości kosztów produkcji, a pośrednio także i zysków.

Wielkopolski przemysł jako całość, mimo dość szybkiego rozkwitu



Jerzy Ziomek

Poezja nieupozowana

To już trzeci tomik poezji Józefa Ratajczaka. Pierwszy „Niepokój” ukazał się przed pięć laty i pozyskał zaraz autorowi ciepłe słowa uznania krytyki. Mówiło się wprawdzie o powtórzeniach z przed-

wczesniej kiedyś zgasłego Lieberta, ale przecież wskazanie pierwowzoru nie przynosi debiutantom ujmę, szczególnie kiedy pierwowzór jest dobrze wybrany. Czy wybrany?

Pierwsze wiersze Ratajczaka miały istotnie podobną do poezji Lieberta temperaturę. Chciałoby się powiedzieć: dosłownie temperaturę. Obsesja chłodnego szpitalnego prześcieradła, pogranicza życia i śmierci, samotności choroby. Ołóż tej obsesji nie wybiera się dowolnie — otrzymuje się ją wraz z biografią.

Jeśli wracam do tego tomiku, to dlatego, że trzecia publikacja z natury rze-

czy sprawdza talent poety. Powiedzmy

od razu — talent

niebanalny i trwały,

talent nie jednora-

zowej przygody po

etyckiej.

„Niepokój” był

głośnym monolo-

giem bez partnera. „Pozy i akty” to

nieustanny dialog; „Niepokój” wyrzu-

cał ludziom niedostrzeżenie, zbanalizowa-

nie urody świata; przypominał świat,

mówiąc o brzydocie umierania. „Pozy

i akty” odkrywają na nowo uroki spraw

ludzkich:

Z twoich włosów
wije sobie gniazdo
na osłone.

Otoczam się nim,
jak w kokon,
bezbrownym tułowiem,
wnikam.

(Włosy na pomoc)

Poezja rewiduje samego siebie. Tego sprzed pięciu lat. Nieraz ucieka się do niepotrzebnej, taniej i pozornej elegancji:

ależ wierzbowy grzebień
włosów
rozpięta etola,

(Dwoje)

Ale to rzadki przykład niewypału. Cytuje go, żeby nie przechwalić poety. Najczęściej szuka on jednak poetyckiego zadośćuczynienia w urodzie codzienności, w rzeczach, czynnościach, ludziach mijanych i zazwyczaj niedostrzeganych:

Skrzywni śmiesznie,
dla uchwytu pod rękę,
ja,
w żółtej kurtce,
spadającej z ramion,
ona
z chusteczką
wplecioną we włosy,
wchodzący w ulicę wielkie,
niespokojni
o przejście przez jezdnię.

(My)

W czasie ostatniej poznańskiej Jesieni Poetyckiej któryś z warszawskich gości — poetów powiedział, że poznajscy twórcy wyróżniają się własnym, odmiennym obliczem. Nie ma u

*) Józef Ratajczak, Pozy i akty, Poznań, 1962, Wydawnictwo Poznańskie, str. 66, 3 nłb.

i na ogół dobrego prosperowania przemysłu spożywczego, zajmował w gospodarce Księstwa drugorzędne pozycje. Zapewniał on w r. 1907 utrzymanie (wraz z górnictwem) tylko około 15 proc. ludności, co kwalifikowało Wielkopolskę do grupy najslabiej uprzemysłowionych prowincji pruskich. Przemysł Księstwa również pod względem poziomu technicznego zajmował jedno z ostatnich miejsc w Rzeszy.

Niski stopień uprzemysłowienia Wielkopolski spotykał się wśród społeczeństwa Księstwa z różnymi ocenami. Najczęściej postulat industrializacji Wielkopolski pojawiał się na ustach przemysłowców, kupców, bogatych rzemieślników oraz części inteligencji będącej zwolennikami konsekwentnej realizacji programu pracy organicznej. Za popieraniem rozwoju przemysłu opowiadali się także wielcy posiadacze ziemscy i przedstawiciele samorządu gospodarczego w Księstwie. Mniej śmiało zabierali głos w tej kwestii reprezentanci różnych związków zawodowych. Chciał na łamach prasy i innych publikacji powtarzać się w formie postulatycznej te same

nich nic z fantazjowania grupy Muszyni, nic z warszawskiego klasycyzmu, nic z poawangardowych igraszek słowa. Goście nieraz lepiej widzą nasze mieszkania niż my sami przywykli do rozkładu mebli. I zdaje się, że mają rację. W każdym razie o Ratajczaku można powiedzieć, że jego wyobraźnia poetycka żywi się realnością, konkretnością i sprawdzalnością słów.

Z dwu części tomu (Akty — Pozy) wolę tę drugą: Pozy. Właśnie dlatego, że nie jest upozowana, przeciwnie — jest uwrażliwiona na wszelkie pozy komunikatu, miu historycznego, mechanizmu obrzędowości. Ratajczak należy do pokolenia, które poznało i wartość, i słuszność słów:

Historia,
co to jest?
Powieść w odcinkach.

Tworzona partiami,
z gwałtem w każdej szpalcie.

Jeśli obrzęd staje się zawodem, staje się mechanizmem. Automatyzacja to poza, poza jest czymś, co przeżyciu odbiera au-

tenityczność:

Z puszek po konserwach tłoczą

[Jezusików,

święcony po dwa złote tysiąc

[biogostawieństw...

Modłę się do konserw:

„Przyjdź królestwo twoje”.

Ratajczak jakby posłuchał mądrej przestrogi: „Jesteśmy winni ironię wszystkiemu temu, co wobec nas jest ironiczne”. Z ironią traktuje historię, ogląda ją na kształt ołowianych żołnierzyków ustawionych w dziecinny pokój:

W oczach ołów, w ustach ołów,
koniec świata u krawca stołu.

A bitwa pod... (mniejsza z tym pod jaką miejscowością) to już tylko: „anatomiczny teatr spółkującej konnicy”.

Kiedyś, w pierwszych swoich wierszach Ratajczak oglądał świat jak Guliwer w kraju olbrzymów. Widział rozszerzone pory skóry ludzkiej. Teraz odwrotnie: przypomina Guliwera w kraju liliputów: widzi śmiechność świata, nieraz groźną, świata, który jest jak zabawki wyjęte z pudełka, jak bazar Różyckiego, gdzie:

Buty po nieboszczyku, męża
oczekują targu,
Panna Maria na sprzedaż
w pozłacanej ramie,
slipy białe, czerwone
ze sztańdarówych płócien.

Poezja Ratajczaka jest oszczędna w słowach, ale w poszukiwaniu zwiększono i oszczędności nie ugania się rozpaczliwie za gestą metaforą. Irzykowski powiedział kiedyś, że poezja jest dowcipem na poważnie. Rzecz ciekawa, że z tego spostrzeżenia skorzystał dopiero poeci powojennego pokolenia. Wiersze Ratajczaka żyją aforyzmem i sentencją. Aforystyczne myślenie w poezji nie jest świeżym wynalazkiem, nie jest więc wynalazkiem Ratajczaka. Nie jest samo w sobie zresztą, ani zaletą, ani wadą. W każdym stylu można pisać wiersze dobre i złe. I nie o to tu chodzi. Rzecz w tym, że wybierając styl wybiera się problemy. Ratajczak wybierając wiersze krótkich spieć myśli, wybrał poezję społecznej wrażliwości i postawę współczesnego poety — moralistę.

słowa i sformułowania jak np. „uprzemysłowienie”, „rozwój przemysłu”, „rozbudowa przemysłu”, to treść, którą z tymi pojęciami łącznie, była bardzo różna.

Rozmaite też te hasła budziły uczucia i różne wywoływały reakcje. Dla olbrzymiej większości wielkich posiadaczy ziemskich uprzemysłowienie oznaczało przede wszystkim dalszy rozwój przemysłu spożywczego, z którego czerpali dość wysokie zyski. Tylko bardziej zaangażowani w życie politycznym i gospodarczym Wielkopolski ziemianie zrozumieli potrzebę rozwoju także innych gałęzi przemysłu, w tym głównie produkujących na potrzeby rolnictwa. Do rozbudowy przemysłu dążyły również dwie inne warstwy społeczne: drobnomieszczaństwo i stosunkowo nieliczna w Księstwie drobna burżuazja; ale na realizację większości swoich zamierzeń nie posiadały wystarczających środków finansowych.

Zachowanie nadal charakteru rolniczego Wielkopolski leżało zresztą w interesie rządu pruskiego, chociaż expressis verbis tego publicznie nie formułowano. Prowincja poznańska

„Bezstronność nie jest neutralnością — jest zawsze po stronie sprawiedliwości” — zacytował Leca w ONZ Adlay Stevenson, mówiąc o U Thant'cie.

Siedzimy w kawiarni Związku Literatów w Warszawie. Mój rozmówca, Stanisław Jerzy Lec, autor „Myśli nieuczesanych” drukowanych co tydzień w „Przeglądzie Kulturalnym”, coraz to zwraca głowę w tę i tamtą stronę, pozdrawiając lub odpowiadając na pozdrowienia. Znają go tu wszyscy: wielkie tuzy literatury i małe plotki. On zresztą dla wszystkich jest taki sam.

— Panie Lec, pan zapomniął numerka! — woła szatniarka. I ten sam uśmiech dla szatniarki co dla nestora piśmiennictwa.

Stanisław Jerzy Lec, którego „Myśli nieuczesane” ukazują się niemal równolegle z oryginałami polskimi w przekładach na niemiecki, rosyjski, czeski, angielski czy hiszpański, który dostaje listy od obcych ludzi z całego świata (często adresowane tylko „St. J. Lec, Polska”), o którym zagraniczni recenzenci piszą: „Geniusz aforyzmu, mistrz metafory...”, nie zatracił prostoty i zwykłości w obcowaniu z ludźmi. Interesuje się wszystkim, jak gdyby bagatelizując swoje znaczenie.

— Piszę tylko w kawiarniach — mówi — inaczej nie mogę. O, znam ich wiele. Tutaj i w innych miastach...

— Ale niech pan zdradzi tajemnicę, jak pan „wymyśla” swoje Myśli? W tak lapidarnie krótkiej formie zawrzeć tyle ładunku! Czy jest na to jakiś przepis?

— Jest. Trzeba mocno dostać od życia.

— Cięgi otrzymują wszyscy, a...

— Może nie we właściwe miejsce — przerywa Lec ze swoim typowym, dobrodusznym i trochę przecherynym uśmiechem.

— Nie. To też za mało. Trzeba mieć jeszcze ów dar, a na to nie ma recepty. Nieraz zastanawiałam się: pańskie Myśli są tak, rzekłabym, suche, a jednocześnie tak bogate, ogólnoludzkie i dobre dla wszystkich czasów. Najlepiej pasuje do nich chyba zdanie niemieckiego tłumacza: „Optymizm — nie, pesymizm — nie. Humanizm...” A przy tym forma jedyna w swoim rodzaju. Właściwie nie ma pan ani naśladowców, ani poprzedników. Trudno pana sklasyfikować. Czy zaliczyć pana do satyryków czy do filozofów?

— A może do poetów? — podsuwa Lec. — Poeta winien chyba łączyć w sobie i jedno, i drugie. Nawet przy tworzeniu tej gry pojęć, jaką są Myśli, jest coś z roboty poety. Wspomniła pani o suchości. Tak. Staram się o maksymalny obiektywizm, ale nie sposób odgrodzić się od samego siebie. Przekonałem się o tym, gdy zgubiłem raz zeszyt z Myśłami. Chciałem je odtworzyć i nie mogłem: tak głęboko związane były

Janusz Biniek

Nareszcie rewelacja!



Jeżeli od dłuższego czasu poziom naszej bieżącej produkcji fabularnej pozostawia wiele do życzenia. Poza nielicznymi wyjątkami, jeżeli zdarzały się nawet filmy ambitne, to ambicje te niemal z reguły przekreślał źle napisany scenariusz lub nieudolność reżyserii, a najczęściej — i jedno, i drugie. Tym większym więc wydarzeniem jest film, o którym można wreszcie napisać ze spokojnym sumieniem: oto dzieło rzeczywiście bardzo dobre, wręcz — rewelacyjne.

Niespodzianka nosi tytuł „Jak być kochaną”. Akcję filmu można streścić krótko: znana aktorka, wyjeżdżająca za granicę, przeżywa we wspomnieniach swą okupacyjną mło-

dość, która poświęciła kochanemu bez wzajemności człowiekowi. A więc jeszcze jeden nawrót do tamtych lat, jeszcze jeden dramat wojennego pokolenia? Tak, ale nie tylko. Nigdy jakoś nie potrafiłem zrozumieć tych, którzy, domagając się słusznie współczesnej tematyki, gromili jednocześnie twórców za filmy związane z wojną, przeciwstawiając z zasady jedno drugiemu. Jakby wojna i okupacja nie rzutowała na najbardziej istotne problemy naszej współczesności, jakby dla ludzi, którzy ją przeżyli, była tylko podręcznikową historią, nie pozostawiającą śladów na ich losach, na ich świadomości i psychice.

„Jak być kochaną”, dostarcza argumentu o nader przekonującej wymowie. Wydobywa przede wszystkim prawdę, nie zawsze jasno dostrzeganą przez młode, powojenne pokolenie.

Okupacyjny dramat bohaterki filmu został ukazany w retrospekcji. Lecz sceny podróży samolotem nie są bynajmniej zwykłą sobie ramą, jest cze jednym z tak często nadużywanych chwytów dramatycznych. Funkcja ich ma o wiele istotniejsze znaczenie, a mianowicie, służy do zobrazowania rozrachunku, jakiego bohaterka dokonuje sama z sobą, ze swymi wspomnieniami; jest więc próbą uchwycenia przeszłości z perspektywy dnia dzisiejszego.

I właśnie, to wzajemne przenikanie obu płaszczyzn akcji, jest pasjonujące. Bez tego byłibyśmy świadkami dramatu, znakomicie wprawdzie pokazanego, lecz zamkniętego datą 1945, jak „Kanał” czy „Popiół i diament”. Tutaj przeszłość wydobyto na zasadzie rezonansu, jak uderzenie w struny. Jak brzmi to echo dziś? Oto pytanie, na które starają się odpowiedzieć twórcy filmu.

„Nie, żadnego wrażenia” — stwierdza bohaterka ze smutnym zdziwieniem, słysząc rozmowę w języku niemieckim dwóch, młodych dziewcząt, jakże innych niż ona wówczas. „Cóż on może o tym wiedzieć?” — myśli o towarzyszu podróży, przystojnym,

Mistrz metafory

Rozmowa z autorem „Myśli nieuczesanych”

z miejscem, czasem, nastrojem i mną, gdy je pisałem. Zresztą piszę i czyste liryki — dodaje.

— Nie mogę pani zdradzić recepty na Myśli, ale jest pani pierwszą osobą, której zdradzę tytuł mojego tomiku liryków, jaki się niebawem ukaze: „List gończy”. To nie pierwsze wiersze w moim życiu. Już w partyzantce, w Gwardii Ludowej, pisałem liryki zebrane później w tomiku „Notatnik Polowy”. Drukuję również fraszki w tygodniku „Świat”, miewam wieczory autorskie...

— Gdzie?

— Różnie. W Turoszowie, na wsiach podkarpackich, w okolicach Koszalina.

— A jak pana odbierają?

— Chyba nieźle. Kiedy raz spytałem, czy nie za szybko czytam, czy rozumieją, padła odpowiedź z tłumem: „Jasne, że rozumiemy. Mamy błyskawiczny refleks”.

— To skojarzenie sportowe to już chyba wpływ LZS-ów. Na pańskich wieczorach bywa więc młodzież?

— Tak. Głównie. Lubię te wyjazdy. Raz, czytając recenzję z takiego wypadu w teren zachodziłem w głowę. Było tam napisane: „Lec powiedział, że nie zjada noży”. Naraz ośnienie. Przypomniałem sobie, że gdy się przedstawiałem publiczności powiedziałem: „Nie jestem czarodziejem, nie żongluje, nie umiem polykać noży...”

— A jakie ma pan plany na teraz, na najbliższą przyszłość?

— Na teraz? Solidnie popracować. Ostatnio jeździłem trochę po Europie i mało pisałem.

— A gdzie pan był?

— W Londynie i Paryżu. Pierwszy raz w życiu. Kiedy spytano mnie podczas wywiadu w BBC: „Pan w Anglii jako intelektualista?”, wyznałem „Nie, jako kuzyn”, bo byłem tam na prywatne zaproszenie.

Rozmawiała: Ewa Berberyusz

pewnym siebie, zadowolonym. — Wprawdzie ona też odzyskała równowagę, odnalazła sens życia, odnosi przecież sukcesy — jest nawet w jakiś sposób szczęśliwa. Próby, które przeszła, nie można wymazać, życie jest jednak silniejsze. Toteż, kiedy stewardessa zwróciła się do niej: „Proszę pani, podróż skończona” — wtedy tę podróż w wspomnieniach zakończy uśmiech, pogodny wprawdzie, lecz zarazem pełen melancholii i gorzkiej mądrości. — Prawda współczesna? Jak najbardziej.

*

W reżyserii zaskakuje oszczędność środków wyrazu i obiektywizmu narracji. Has reprezentował raczej odmienną tendencję. Jego „Wspólny pokój” czy ostatnio „Złoto”, obarczone były wymyślnością reżyserkiej roboty, co prowadziło do wyjąskawień formy, często wprawdzie efektownych, lecz na ogół wiszących w próżni, rozrzucających fabule wszczep. Tu odwrotnie: wszystko służy pogłębieniu nie tylko postaci, lecz także zasadniczej myśli filmu. Tak dojrzałe dzieło, po wręcz niedobrym „Złocie” — to rzeczywiście niespodzianka dużego kalibru...

Również kreacja Barbary Kraftówny jest ewenementem (Cybulskiego znamy już z jak najlepszej strony). Jej dotychczasowe role nie zapowiadały tak szerokiej skali możliwości aktorskich. Kraftówna jest niemal bezbłędna w każdym najdrobniejszym geście, szczególnie w scenach w samolocie, gdzie umiała utrącić odpowiedni ton dystansu wobec siebie i swoich przeżyć. Co tu wiele mówić: otrzymaliśmy jedną z najlepszych ról w powojennych filmach.

I tak oto znaleźliśmy się u źródeł tych rewelacji. Zarówno bowiem Has, jak i Kraftówna, trafili wreszcie na scenariusz, znakomity nie tylko pod względem dramatycznym. Scenariusz Kazimierza Brandysa, oparty na opowiadaniu ze zbioru „Romantyczność”, tegoż autora, zawiera bowiem zarówno autentyczny konflikt, jak też prawdziwe, pełne postaci.

Ten film, naprawdę warto obejrzeć. Rzadko to piszę, ale tym razem czynię to z pełnym przekonaniem...

P. S.: W poprzedniej recenzji przytrafił się przykry błąd literkowy. Reżyserem filmu „Spotkanie w Bajce”, jest, oczywiście, Rybkowski, a nie nieznamy mi bliżej Rykowski.

PROF. DR CZESŁAW ŁUCZAK

Irena Solińska

NASZE MAŁE RACJE STANU

Teren akcji stanowią dwa duże pokoje, dobrze wyposażona kuchnia i także „przyległości”. Do tego balkon, który jednak ze względu na porę roku nie odgrywa żadnej roli. Błyszczący parkiet, barwne zasłony, „modne” oświetlenie wnętrza. W smudze wpadającego oknem światła latarni możemy ukazać dyskretnie panią domu śpiącą na leżance. Jest felczerka w ambulatorium fabrycznym. Miała nocny dyżur.

Zgrzyt klucza w zamku oznacza koniec półgodzinnej drzemki regenerującej siły. Pięć minut Mik z impetem wjeżdża na suknach, by po powrocie z przedszkola ucałować mamę. Tuż za nim dziecięcioletnia Aga, która przy prowadząc braciśzka zdążyła porobić zakupy. Jest godzina 16.30. Ojciec powinien zaraz nadejść. Pani Halina idzie do kuchni odgrzać mu obiad.

AGA NIE CHCE BYĆ GOSPOSIĄ

— Mamo, dlaczego ja się urodziłam dziewczynką? Dlaczego ja mam ciągle zmywać? Romkowi by korona z głowy nie spadła... A Romek mi wczoraj w matematyce nie pomógł. Taty też nie było, ani ciebie...

— I co, pewnie dwojga?
— Nie, trójka z ogonkiem.
— Słuchaj Aga, ojciec z tobą pogada...
— A jak Mik bombarduje klockami i przeszkadza...
— Zamiast skarżyć, lepiej byś skoczyła na strych. Muszę szybko poprasować.

Dziewczynka posłusznie sięgnęła po klucz. Wspomnienie ostrego głosu matki, myśl o nieodrobionych jeszcze lekcjach i skryte marzenie o uszyciu lalce nowej sukienki kłębiły się w małej łepotylni. — Nie będę ich gospośnią, a figiel! — szepnęła do siebie otwierając kłódkę.

ROMEK MA PRETENSJE

— Gdzieś ty był tak długo?
— Mamo, przecież jeszcze wcześniej... U Kazka byłem, bo w bibliotece nie dostałem lektury.

— Stałe się gdzieś włóczysz, małym nie pomagasz wcale, a powinienś nas wyręczać. I kiedy wreszcie umyjesz okna? Na nowy garnitur chesz, prawda? Twój ojciec...

— Wiem, wiem. Ale mama nie rozumie, że dziś się więcej wymaga. Jak obuję maturę, to wszystko będzie na mnie. Chyba ucieknę z takiego domu. Wyjść nie wolno, bo Mik potrzebuje niani, uczyć się nie mogę, bo smarkacz szaleje jak ciebie nie ma. Wściec się można!

— Że też tobie stałe źle! Aha, sprzątnij wreszcie zdjęcia z łazienki i powiększalnik, bo...

Pod Bramą Brandenburską

Dokończenie ze str. 1

stępną jeszcze istniała jako miasto, po trzeciej zniknęła z powierzchni ziemi.

*

To było przed 13 sierpnia 1961 roku. Wówczas jeszcze Brama Brandenburska wyznaczała tyłko punkt, w którym kończy się terytorium stolicy Niemieckiej Republiki Demokratycznej a zaczyna obszar

Berlina zachodniego. Ponieważ jednak z Berlina zachodniego zamierzano i próbowano oddziaływać przeciwko NRD nie tylko przy pomocy przygodnych agitatorów, trzeba było zmienić charakter dawniej tylko ozdobnego monumentu.

Dziś już z daleka można dostrzec tę zmianę. Odczuwa się brak dawnego widoku ruchomych kawalkad samochodów na Unter den Linden. W prześwitach Bramy tkwi statycz-

ne pasmo muru wyznaczającego jak przed wiekami obronną granicę. Lecz tym razem nie tylko miasta, lecz państwa niemieckiego, w którym bogini z Bramy Brandenburskiej nigdy nie będzie już wojowniczą Victorią.

Podkreśla to niechęć młody żołnierz Wojsk Granicznych NRD. Poczuwając się do pełnienia wobec dziennikarza z Polski także obowiązku cicerone, wskazuje na kwadrygę, obok której powiewają flagi państwowa NRD i czerwona. Wyjaśnia: a to właśnie rzeźba sławnego Schadowa przedstawiająca boginię pokoju.

ZBIGNIEW SZUMOWSKI

Równocześnie Polityka zamieszcza wypowiedzi polskich adresatów ankiety. Znajdują się wśród nich Jerzy Kawalerowicz, Tadeusz Kotarbiński, Jerzy Putrament, Jerzy Zawieyski, Stefan Żółkiewski. Tadeusz Kotarbiński, mówiąc o wzajemnych stosunkach naukowców, tak je ocenia:

„Mają one charakter niejako mundurowy. Zamiast zaproszonego pokazuje się czasem — lub ma ochotę pokazać się — gość wytypowany. Paszporty, dewizy, ograniczone marszruty, to dominuje. Wzajemne odwiedzanie się intelektualistów krajów socjalistycznych jest bez porównania bardziej utrudnione, niż kontakty wzajemne intelektualistów w krajach Zachodu. Dobrze by było pomyśleć o odsztywnieniu, odprężeniu, itd. Trochę wstyd, że tak jest, jak jest.”

Niemal wszyscy ankietowani proponują jakieś usprawnienia w dziedzinie współpracy. Dlatego też redakcja Polityki zachęca do publicznej dyskusji na te tematy.

Dlaczego Śląsk się zatkał?

To tytuł artykułu Wiesława Szyndlera-Głowackiego w Życiu Gospodarczym. Temat bardzo aktualny. Autor twierdzi, że:

„Problem zatkania się Górnego Śląska jest dość skomplikowany i nieprosty. Ale czy beznadziejny? Czy istnieją realne możliwości polepszenia sytuacji, jak się je wykorzystuje i gdzie szukać bardziej długofalowych rozwiązań? O tym — już w następnym artykule.”

Ten następny artykuł omówimy za tydzień. Dzisiaj strefimy odpowiedź na pytanie zawarte w tytule artykułu. Wraz z rozwojem gospodarczym, a zwłaszcza ze wzrostem produkcji, ruch towarowy oraz pasażerski szybko rośnie, natomiast sieć kolejowa nie ulega raczej większej rozbudowie. Te i inne dysproporcje — również natury kadrowej — najostrejsze występują na Górnym Śląsku. Tam też najtrudniej je zlagodzić.

„Sprawność kolei w katowickim okręgu — pisze autor artykułu — ma szczególnie duże znaczenie gospodarcze. Przecież na terenie tym wytwarza się 94 procent produkcji górnictwa węglowego, 72 proc. produkcji hutnictwa, 20 proc. produkcji materiałów budowlanych... produkcja przemysłowa województwa katowickiego stanowi ponad

1/4 globalnej produkcji całego kraju, przy czym mamy tu do czynienia z najbardziej absorbującymi transport asortymentami (nie radia czy tkaniny, ale węgiel, ruda, materiały budowlane, stal). Przede wszystkim węgiel, którym ładuje się co trzeci wagon w Polsce, a dwie trzecie wagonów na Górnym Śląsku.”

Jeżeli do tego dodamy jeszcze wyjątkowo ciężką zimę (mrozy i duże opady śnieżne połączone z zadymkami), łatwiej zrozumieć obecne trudności opałowe, co jednak wcale nie oznacza, że nie trzeba szukać środków rozwiązania i zapobiegania tego rodzaju sytuacjom na przyszłość.

Kisiel o propagandzie

Popularny felietonista Tygodnika Powszechnego — Kisiel w felietonie pt. *Propaganda — towar niematerialny* polemizuje z czytelnikiem Polityki, który do redakcji tego pisma wysłał list atakujący udział Polaków w Międzynarodowym Rajdzie Samochodowym do Monte Carlo. Zdaniem tego czytelnika, start naszych zawodników jest zbyt kosztowny wobec ich miernych osiągnięć sportowych.

„Za sam fakt — pisze Kisiel — że na mapie Rajdu jako jeden z punktów czasu figurować będzie Warszawa, warto wybulić nawet parę tysięcy dolarów (...). Dlaczego? Dlatego, że mnóstwo ludzi na świecie o takim czymś jak Warszawa nie słyszało, a jeśli się o jakimś cywilizowanym kraju nie słyszało, to i handlować z nim „nie łąza” — zaś na Zachodzie mnóstwo jest firm prywatnych, które bez informacji, propagandy i reklamy „ani dudu”, i nawet żaden ogólnopanstwowy oficjalny traktat handlowy też ich nie ruszy.”

Kisiel na pewno ma rację, pisząc, że propaganda kosztuje i nie opłaca się na niej oszczędzać. Ale czy akurat udział Polaków w rajdzie jest najlepszym przykładem tej propagandy?

Czy musimy budować tak długo?

Tygodnik Służba Zdrowia kontynuuje ankietę pod hasłem: *Taniej, szybciej i więcej*. W zaproszeniu do ankiety Służba Zdrowia stwierdza:

Eugeniusz Paukšta

Wczoraj - dziś - jutro

Rozmach w badaniu dziejów najnowszych, planowz, przemysłowe sięganie do problemów i zagadnień najistotniejszych, gruntowna, rzecz czoła ich analiza — są niejako znamiennymi ukazującymi się z tego zakresu publikacji. Z największą satysfakcją można donieść czytelnikom, bynajmniej nie wyłącznie specjalistom, iż w zamierzonej wielkiej edycji „Historii Państwa i Prawa Polski” ukazał się obecnie nakładem PWN tom obejmujący lata 1918—1939 (część druga tomu zapowiadana jest w najbliższym czasie), opracowany przez zespół pod redakcją Franciszka Rybskiego, pierwsza w naszej nauce próba syntezy form państwowych i prawnych tego okresu, inaczej mówiąc, próba ukazania problemu władzy i jej funkcjonowania.

Nie maleje zainteresowanie naukowców dziejami pierwszej wojny światowej i układem stosunków politycznych, na tle których mogło powstać niepodległe państwo polskie. PIW opublikował niezwykle interesującą, wnoszącą wiele materiałów zupełnie nowych, pracę Leona Grosfelda „Polityka państw centralnych wobec sprawy polskiej w latach pierwszej wojny światowej”, rzeczowa, sumienna analiza miejsca i roli, jaką ziemia i naród polski odgrywały w polityce wojennej obu mocarstw centralnych, Niemiec i Austro-Węgier oraz ukazanie treści i sensu ich polityki z punktu widzenia interesów Polski. Szczegółowym, ale istotnym przyczynkiem do znajomości dziejów bezpośrednio następującego okresu, formowania się państwowości polskiej, będzie studium Józefa Lewandowskiego „Federalizm — Litwa i Białoruś w polityce obozu belwiderskiego XI 1918 — IV 1920”. (PWN). Zagadnienia programu polityki wschodniej w tym okresie nie znalazły dotąd pełnego odbicia w literaturze historycznej, zwłaszcza zaś łączna analiza źródeł tak historycznych i psychologicznych jak też socjalnych i politycznych, których ukazanie jest ambicją autora pracy, rzeczowej, polemicznej w stosunku do wielu dotąd ogłaszanych publikacji, w niejednym odkrywczej.

Ludowej Spółdzielni Wydawniczej należy się wiele uznania za przebiegłą edycję kapitalnej pracy Józefa Chłasińskiego „Kultura amerykańska”, poświęconej formowaniu się kultury narodowej w USA. Autor, zgodnie ze swymi założeniami, wysuwa na czoło problem człowieka i społeczeństwa no-historycznej struktury jego

osobowości oraz problem kultury narodowej w stosunku do tak zwanej „masowej”. Książka ta, imponująca niepowściągniętą rozległością wiedzy, pisana z pasją, jest zarazem dziełem łączącym przedziwne wysokie walory naukowe z przystępnością czyż atrakcyjnością wykładu.

Jednocześnie nieomal „Nasza Księgarnia” przysłała nam arcykolekację, popularną pracę Elizabety Chiesey Baity „Ameryka przed Kolumbem” (przekład L. Pisarka), przynoszącą zestaw atrakcyjnie podanych wiadomości o pierwotnych mieszkańcach Ameryki i ich dramatycznych dziejach. Trudno o książkę bardziej pasjonującą a zarazem cenną pod względem poznawczym.

Coraz głębiej sięgamy też do studium źródeł naszych tradycji literackich i artystycznych. W PIW-owskiej serii pamiętnikarskiej ukazały się „Wieczory piątkowe i inne gawędy” Eugeniusza Skrodzkiego-Wielisława (w opracowaniu Mieczysława Opałka), zapomnianego autora wielu wspomnień i gawęd związanych głównie z drugą połową XIX wieku, z warszawskim środowiskiem artystów i naukowców, w trudnych słuch czasach pielęgnujących i poszerzających skarb narodowej kultury. LSW natomiast, dla uczczenia 150-letniej rocznicy urodzin J. I. Kraszewskiego ładnie wydała (papier tylko marny!) przygotowany przez Stanisława Burkota tom pt. „Kraszewski o powieściopisarzach i powieści”, przynoszący zbiór wypowiedzi teoretycznych i krytycznych pisarza, wypowiedzi nieraz szokujących swoją aktualnością. Skoro zaś o Kraszewskim mowa, trzeba wspomnieć, że nakładem tegoż LSW w serii dzieł pisarza otrzymaliśmy obecnie kolejny tom: „Szaławiła Raptularz Pana Mateusza Jasieńskiego”, dwa opowiadania historyczne z czasów St. A. Poniatowskiego.

I teraz — dla przeciwwagi — skok w przyszłość. Bardzo, bardzo polecam każdemu zapoznanie się z pasjonującą książką Fritza Baadera „Rok 2000 — ku czemu zmierza świat” (nakł. PWE), oparta o ekonomikę wizja przyszłego, cudownego świata, realnego wleady, jeśli ludzkość wyrzeknie się wojen, zrozumie sens współistnienia, zajmie się wyzyskiwaniem możliwości otwierających się przed nią. Jeśli zaś nie — grozi nam jedynie samozagłada. Bardzo aktualne i bardzo to mądre, serdecznie zalecam!

W wypowiedzi architekta Tadeusza Liliena czytamy: „Należałoby (...) przede wszystkim skrócić okres realizacji budowy. W tym celu powinno się stworzyć wyspecjalizowane biura, grupujące doświadczonych fachowców i dbać o stabilizację tych kadr. (...) Rozszerzyć studia nad każdym nowo wybudowanym obiektem. Badajmy go od strony architektonicznej, ekonomicznej, funkcjonalnej. Doświadczenia — wykorzystujemy przy projektowaniu następnych szpitali.”

„Budowa szpitala białostkiego trwała 7 lat. Budowa szpitali klinicznych w Lublinie, w Białymstoku będzie trwała blisko 8 lat. Budowa szpitali powiatowych w Sanoku i w Międzybuziu trwa 10 lat. Czy musimy budować aż tak długo? Co zrobić, by przyspieszyć realizację naszych wielkich inwestycji?”

W wypowiedzi architekta Tadeusza Liliena czytamy:

„Należałoby (...) przede wszystkim skrócić okres realizacji budowy. W tym celu powinno się stworzyć wyspecjalizowane biura, grupujące doświadczonych fachowców i dbać o stabilizację tych kadr. (...) Rozszerzyć studia nad każdym nowo wybudowanym obiektem. Badajmy go od strony architektonicznej, ekonomicznej, funkcjonalnej. Doświadczenia — wykorzystujemy przy projektowaniu następnych szpitali.”

Postulat ten warto rozszerzyć nie tylko na inwestycje szpitalne, ale na wszystkie budowy. Tym bardziej że bez oszczędzania i bez postępu technicznego trudno będzie wykonać coraz większe zadanie budownictwa, zwłaszcza mieszkaniowego.

Awans młodzieży na wsi

Coraz ciekawiej redagowany, wychodzący w Poznaniu tygodnik ZSL — *Gazeta Chłopska* kontynuuje dyskusję o możliwościach społecznego awansu młodzieży na wsi. Po artykule F. Kłirnowicza ukazał się w najnowszym numerze artykuł Marii Kempary pt. *Na wieś czy do miasta*. Autorka pisze o przygotowaniu absolwentów wyższych uczelni do pracy w środowisku wiejskim.

„Młodym adeptom wiedzy, a szczególnie ich rodzicom wydaje się bowiem, że awans społeczny wiąże się musi koniecznym z dużym miastem, z nowoczesnie wyposażonym biurem, z wygodną posadką i odpowiednio wysoką pensją.”

Żłudne mniemania. Możliwość awansu — nawet większe niż w mieście — otwierają się przed młodą inteligencją na wsi. Oto główny nurt dyskusji zainicjowanej przez *Gazetę Chłopską*.

LEKTOR



Powstanie styczniowe

Większość tygodników porusza z okazji 100 rocznicy problematykę powstania styczniowego. Na łamach Polityki Marian Zychowski w artykule *Po 100 latach* zastanawia się nad przyczynami wybuchu powstania i prezentuje spór historiografii o jego ocenę. Tygodnik Kulturalny publikuje artykuł Tomasza Szczepury pt. *Powstanie styczniowe — etap w walce chłopów o ziemię*. Życie Literackie zamieszcza artykuł (autor: Noe Gruss) pt. *Bismarck a powstanie styczniowe*. W Tygodniku Powszechnym Stanisław Stomma pisze o powstaniu styczniowym w artykule pt. *Z kursem krwi bratniej*; w wymienionych publikacjach autorzy wykorzystują często wyniki najnowszych badań naukowych, poruszając wiele mało znanych i dotychczas nie publikowanych szczegółów.

Naukowcy i artyści łączcie się!

Polityka informuje swych czytelników o inicjatywie redakcji ukazującego się w Pradze miesięcznika społeczno-literackiego *Plamen*. Redakcja tego miesięcznika zwróciła się do naukowców, artystów i działaczy kulturalnych z państw socjalistycznych z prośbą o odpowiedź na dwa pytania: 1. Co sądzi Pan o dotychczasowym stanie i formach współpracy kulturalnej między krajami socjalistycznymi? 2. Co zaproponowałby Pan na przyszłość, aby polepszyć tę współpracę?